ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM I SZKOŁA

No 6. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 10 marca 1929.

WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA

TREŚĆ NUMERU:



RYSZARD BYRD
„lotnik podbiegunowy" w kostjumie eskimoskim.

K. STATTLERÓWNA

DOM I SZKOŁA.

Z serdeczną radością wita nauczycielstwo szkół powszechnych nowe pismo, które ma się stać łącznikiem między szkołą, a domem, tymi dwoma wychowawcami dziecka w wieku szkolnym.

„Świat, Dom i Szkoła“, mówi nagłówek pisma, lecz przedewszystkiem dom i szkoła są i powinny być światem dziecka, dać mu wszystko, czego potrzebuje, dać mu ognisko domowe, naukę, zdrowie, rozrywkę, siłę i radość życia.

Źle jest, gdy świat przedwcześnie dochodzi do dziecka innemi drogami ze swojem koniecznem złem, ze swoim trudem i smutkiem, gdy robi z niego małego, bezbronnego, wyzyskanego pracownika, lub — jakże często jeszcze — bezdomnego nędzarza.

Jeżeli, jednak, dom i szkoła w najściślejszem porozumieniu zaproszą świat do współdziałania, wtedy mogą ukazać dziecku to, co ma on najlepszego: jego pracę, technikę, instytucje społeczne, piękno przyrody i piękno ducha ludzkiego.

Tego porozumienia właśnie domagamy się my, nauczyciele. Dom i szkoła powinny jedną mową mówić do dziecka; powinny to samo potępiać, a to samo czcić i kochać.

Inaczej dusza dziecka będzie, jak drzewko rozszczepione, szarpane w dwie przeciwne strony, i w końcu spaczy się i załamie.

Niestety, do zupełnego porozumienia jeszcze daleko! Jeszcze zebrania rodzicielskie świecą pustkami; jeszcze większość matek i ojców „nie może“ nigdy znaleźć chwili czasu dla szkoły, by dopiero przy końcu roku z przerażeniem stwierdzić niedostateczne postępy lub złe sprawowanie.

Stale nieobecni na zebraniach rodzice nie mogą dokładnie rozumieć wymagań szkoły, zmieniają je, lub wprost im przeczą, narażając własne dzieci na obustronne wymówki, na niezadowolenie nauczyciela i niewczesny gniew rodzicielski.

Szkoła wzywa, szkoła alarmuje, szkoła zaskarża wreszcie, lecz z jakim niewystarczającym skutkiem! Nauczyciel nie rozporządza karą, działa środkami łagodnemi, trzeba jednak, by powaga jego była przez dom jak najmocniej podtrzymana. Dziecko, nie czując poparcia domu, pozostaje bezkarne, niepilnowane; co szkoła stara się zbudować, dom zburzy i zmaże w jego pamięci.

Bywają i przeciwne, niemniej częste wypadki. Dom srogo i bezwzględnie traktuje dziecko, wymaga więcej niż szkoła, zapędza do książki przez całą resztę dnia, nie rozumie, że młody organizm dziecka potrzebuje ruchu, wypoczynku, swobody.

Nic w tem dziwnego. Rodzice sami ciężko pracują; nie wiedzą, że kilka godzin szkolnych dla ich małego synka to dzień roboczy, wyczerpujący jego siły, że nie należy forsować ich, lecz ostrożnie wzmacniać i rozwijać

A jakże powszechny jest jeszcze smutny zwyczaj brutalnej kary, wymierzanej dziecku przez dom przy lada sposobności, wobec najlżejszej winy, złego stopnia czy notatki w dzienniku, kary, która zabija godność dziecka, czyni je fałszywem i skrytem!

Cóż pocznie nauczyciel z dzieckiem wystraszonem, lękającem się domu? Z konieczności ochraniać je będzie przed rodzicami, taić jego przywary, ucząc nieszczerości, w której dzieci doskonale się orjentują i którą potrafią wyzyskać.

Te i wiele innych braków jest jeszcze w obustronnym stosunku domu i szkoły. Nie chcemy tu winić nikogo. Życie jest cieżkie, dzień krótki. Dom i szkoła niedość się jeszcze znają, niedość sobie wzajemnie ufają.

Powtórzmy raz jeszcze. My, nauczyciele, domagamy się jak najściślejszego porozumienia. Któż wypowie, jak miło wita szkoła rodziców dziatwy szkolnej, jako częstych gości na zebraniach rodzicielskich; jak chętnie zaprasza ich do współpracy, powierza im kontrolę swoich czynności, wtajemnicza w swoje troski i dążenia wychowawcze!

Ze swojej strony jak serdecznie umie nauczyciel wypytać rodziców swego ucznia o warunki domowe, zdrowotne, materjalne ,sprawdzić, jak się zachowuje w domu, czy nie ma zadużo pracy, czy może płacić na Opiekę, na kino, koncert i inne potrzeby szkolne.

Jak szczerze nauczyciel dzieli radość dziecka, które dostało się na kolonje letnie, by powrócić zdrowe, czyste i wesołe. Jak głęboko współczuje każdej klęsce dziecka i stara się dopomóc.

Tysiączne nici wiążą dom ze szkołą, a będzie ich codzień więcej. Jeśli brak czasu na osobiste porozumienie, niech ono nastąpi na szpaltach tego pisma. Czekamy na głosy rodziców! Czekamy wyjaśnień, wskazówek, uwag. Szkoła może się nieraz mylić, może niedoceniać lub przeceniać możności domu. Szczere słowo, wzajemnie sobie powiedziane, stanie się zadatkiem dobra tych, dla których wszyscy pracujemy, dobra naszych dzieci.

OD RADY SZKOLNEJ.

Wielka jest nasza organizacja. W każdej szkole jest Opieka Szkolna, w której pracuje 12—15 osób. Jest szereg komisyj przy Radzie Szkolnej i sama Rada Szkolna. Ogółem w społecznych instytucjach szkolnych w Warszawie pracuje około 2.000 osób.

Osoby te, powołane przez ustawy do troszczenia się o dobro szkoły powszechnej, osobiście gotowi oddać wszystkie swe siły dla sprawy szkolnej, nieraz nie wiedzą o swych prawach, obowiązkach, a jeżeli wiedzą o tem, to często nie wiedzą, w jaki sposób te swe prawa, czy obowiązki wykonać.

Osoby te pracują każda w osobności lub w niewielkich grupach, nie odczuwają potrzeb całości, rzadko się na większych zebraniach spotykają, prawie wcale się nie znają — nie mają możności porozumiewania się z sobą, poradzenia się wzajemnego — a sprawy są tak liczne, tak ważne i drogie dla każdego. Jak w tych warunkach można dobrze pracować, jak troszczyć się o szkołę!

Z drugiej strony Rada Szkolna, naczelna instytucja całego samorządu szkolnego w Warszawie, nie jest w żywy sposób powiązana z dzielnicami szkolnemi i opiekami szkolnemi — nie ma stałego, ciągłego kontaktu z nimi i odwrotnie. W tym stanie rzeczy jedno jest niewątpliwe: każdy obywatel, czy mała ich grupka, pracująca dla dobra szkoły powszechnej w Warszawie, a obywatele ci stanowią całą armję, każdy z nich, czy każda — przystępuje do pracy i ją przeprowadza z mniejszem lub większem powodzeniem — *nie korzystając z doświadczenia innych*, a zatem powtarza te same błędy, pokonywa te same trudności, co inni już przeszli, i wiedzą, w jaki sposób najłatwiej to pokonać. Moc wysiłków marnuje się, Siły zamiast na pracę realną — są kierowane na pokonywanie rozlicznych trudności — poprawianiu błędów. Tego w oszczędnej pracy społecznej być nie może i nie powinno!

Musimy się wzajemnie porozumiewać, mówić sobie, co trzeba robić, jak trzeba robić, kiedy i t. d. — musimy wzajemnie uczyć jeden drugiego — aby wyniki pracy naszej na tem zyskały.

Dlatego Rada Szkolna m. st. Warszawy założyła to pismo. Dlatego — aby stało się ono stałym łącznikiem między wszystkiemi Opiekami Szkolnemi—oraz między Radą Szkolną i komisjami, a Opiekami Szkolnemi. Nie obojętną rzeczą, zatem, jest dla Opiek Szkolnych to pismo. Jest to żywy poradnik-pomocnik w pracy codziennej dla każdego członka Opieki Szkolnej.

W każdym numerze, poczynając od następnego, będzie dział Rady Szkolnej i Opiek Szkolnych.

W tym dziale znajdą odbicie prace Rady Szkolnej, Komisyj, Opiek Szkolnych. W tym dziale będą informacje o szkolnictwie wogóle, a w Warszawie w szczególności, o trudnościach w pracy, o najlepszych sposobach wykonania zamiarów dla dobra szkoły.

Każda Opieka Szkolna, każdy członek Opieki Szkolnej będzie współpracownikiem tego działu.

Wzywamy więc w imieniu Rady Szkolnej Opieki Szkolne nietylko do prenumerowania i do rozpowszechniania naszego wspólnego pisma — wzywamy również do pracy w samym piśmie przez nadsyłanie wzmianek, artykułów, sprawozdań, zapytań w sprawach, dotyczących działalności Opiek Szkolnych, nie krępując się tem, jak to będzie napisane, składnie, czy nie. Już tu w redakcji nad tem pomyślimy i jeżeli trzeba będzie poprawimy.

Wierzymy, że Opieki Szkolne rozumieją, o co Radzie Szkolnej chodzi przy wydawaniu tego pisma i że będą popierać to pismo, jako swoje własne — służy ono, bowiem, dobru szkoły.

A dobra szkoła to dobro dla naszych dzieci na całe ich przyszłe życie, to dobro dla całego społeczeństwa i państwa.

Z.

DR. MED. JULJUSZ MAJKOWSKI

ZADANIA GIMNASTYKI.

Gimnastyka, to systematycznie dobrany szereg ćwiczeń, których celem jest *harmonijny rozwój* całego ustroju ludzkiego.

Gimnastyka, wchodząca w wielki dział wychowania fizycznego, stoi w równym szeregu z wychowaniem umysłowem i moralnem, stanowiąc wraz z nimi *wychowanie ogólne*.

Nie można mówić o harmonji rozwoju, jeśli którykolwiek z tych działów wychowania ogólnego jest upośledzony.

Dążeniem gimnastyki jest wychowanie człowieka zdrowego, silnego i dzielnego, bowiem jednostka chora, fizycznie słaba, niezahartowana — zawsze będzie ciężarem społeczeństwa.

Jednym z widocznych skutków gimnastyki jest siła, gdyż wskutek racjonalnej pracy, mięśnie grubieją, potężnieją, usprawniają się. Jednocześnie usprawnia się układ nerwowy, ucząc się wykonywać coraz to nowe, bardziej skomplikowane ruchy.

Praca mięśniowa pobudza pracę serca i płuc, stwarzając konieczność szybszego dostarczenia do pracujących mięśni tlenu, budulca i paliwa, oraz szybszego odprowadzenia i wydalenia produktów spalania.

Jak z tego widać, praca mięśniowa ma olbrzymie znaczenie dla wszystkich narządów ustroju, a szczególnie dla najważniejszych — jak serce, płuca, mózg i cały układ nerwowy, pobudzając je do pracy, a co za tem idzie — do rozwoju.

Człowiek zdrowy z natury rzeczy jest silny, bo, sprawnie funkcjonujące, narządy jego stwarzają dobrą podstawę dla rozwoju siły fizycznej.





Nie każdy jednak człowiek silny jest zdrowy, gdyż pogoń za olbrzymiemi mięśniami, rozwijającemi się kosztem innych narządów, obniża sprawność tych narządów przez ich przepracowanie, jak to np. bywa u atletów, u których kosztem olbrzymich mięśni — występuje przerost i niedomoga serca oraz rozedma płuc.

Nie można więc identyfikować siły ze zdrowiem. Racjonalną gimnastykę winna cechować pogoń za zdrowiem, a nie za siłą, gdyż zdrowie warunkuje siłę jednostek, a tem samem siłę społeczeństwa. Niższy poziom zdrowia, to zwiększenie chorobowości i śmiertelności, to obniżenie siły społecznej.

To też hasłem wychowawców młodzieży powinno być wytworzenie z posiadanego materjału największej ilości ludzi zdrowych, harmonijnie rozwiniętych.

Jednostkowe wyczyny w postaci najwyższych skoków, najdalszych rzutów, czy też najdłuższych biegów, jakkolwiek cenne dla propagandy wychowania fizycznego, jednak nie odzwierciadlają fizycznego poziomu społeczeństwa.

To społeczeństwo stoi najwyżej, które potrafiło wytworzyć najwięcej t. zw. „średniaków", ludzi harmonijnie rozwiniętych, zdrowych i silnych. Taki też cel ma gimnastyka przez swój charakter gromadny. W ćwiczącej gromadzie słabszy odważniejszym i silniejszym się staje, mniej zręczny — zręczniejszym.

Jednocześnie owa zbiorowość ma wielką wartość uspołeczniającą, zaprawiając młodzież do współpracy, do skoordynowanych wysiłków, bez których żadna praca społeczna udać się nie może.

DZIECI PRZED SĄDEM.

I. NA KRÓLE.

Sala sądu dla nieletnich. Duży, jasny pokój o dwóch oknach. Pod ścianami dwie proste ławy, jedna dla oskarżonych dzieci, druga dla ich rodziców i opiekunów. Na prawo od wejścia pulpit oskarżyciela publicznego, którego reprezentuje tutaj policja. Obok miejsce dla opiekunów sądowych. Pod oknami długi stół, nakryty zielonem suknem, na nim krucyfiks. Na ścianie, ponad stołem godło Rzeczypospolitej — biały orzeł na szkarłatnem polu.

Sędzia podnosi rękę, porusza małym dzwonkiem. Zjawia się woźny. — Pierwsza sprawa — mówi sędzia. — Otóż i zaczyna się posiedzenie.

Na salę wchodzi trzech chłopaków. W wieku od 10 do 13 lat. Miny mają rzedkie, w rękach mną czapki. Za nimi matki. Otulone w płaszcze i chusty, poruszają się niepewnie, zalęknione i stroskane. Jedna z dzieckiem na ręku.

— Przyznajecie się do kradzieży króli z piwnicy? Jak to było? Mówcie po kolei. No, ty pierwszy — Antoni W....

— Ja się nie przyznaję, Wysoki Sądzie. Ja z niemi nie byłem. Ja wcale nic nie wiem. To oni kradli, Józiek i Maniek.

— O, jak kłamie! — przerywa mu Józiek. — Niech pan sędzia mu nic nie wierzy. On sam do nas pierwszy przyszedł i powiada: u dozorczyni pod dwudziestym pierwszym są w piwnicy króle. Matka i sześć małych. Można rozbić kłódkę, będziemy mieli króle. My z Mańkiem nie chcieliśmy. On nam mówi — chodźcie. To żeśmy poszli. Ale myśmy nie kradli, tylko on.

— Nieprawda! — woła Antek — nieprawda, Wysoki Sądzie!

A Maniek nie może już wytrzymać. Czerwieni się ze złości. Doskakuje Antkowi do oczów.

— Czego się wypierasz? Co?... Niby nie wykręciłeś kłódki? Niby nie „weszłeś" do piwnicy? Niby nie świeciłeś zapałką?.. Co?.. Niby nie namówiłeś nas na te króle? Co?..

— Uspokójcie się! — strofuje pan sędzia. — No więc jakże Antku — słyszysz, co oni mówią?

Antka twarz przeciąga się. Widzi, że „nie da rady". Nagle zaczyna się okropnie krzywić i wybucha płaczem.

— Bo to oni mnie namówili! Uuuu!... Ja wcale nie chciałem! Uuu!.. To Maniek i Józiek!.. Uuu... — płacze Antek i całkiem zapomina mówić „Wysoki Sądzie", jak go matka w domu nauczyła.

— To nie tłomaczenie — namowa — mówi do chłopców sędzia. — I niepotrzebnie jedni na drugich zganiacie. Trzeba żyć prawdą. Trzeba umieć otwarcie przyznać się do winy, jeśli się coś złego zrobiło. Każdy z was jednakowo winien.

Teraz już pochlipują wszyscy trzej chłopcy i aż dorosłym robi się mokro w oczach od tego ich płaczu.

— Czy wszystkie króle pani odzyskała? — pyta sędzia poszkodowanej.

— Tak, panie sędzio. W pół godziny po kradzieży. Ja zaraz się spostrzegłam, bo zanosiłam królom jeść, a tu patrzę — otwarte. I zaraz się domyśliłam, bo widziałam chłopców, jak się kręcili koło oficyny. Poleciałam i zaraz ich złapałam. Ja nie wiem, co im do głowy strzeliło. To przecież porządne chłopaki. Ja znam ich rodziców...

Rodzice? Niechże mówią sami za siebie. Do stołu zbliżają się matki. I zaczyna się opowiadanie prędkie i bezładne, przerywane westchnieniami i płaczem.

Cóż się okazuje? Dzieci w domu są dobre. I Antek — ten, co się tak z początku zapierał, i Józiek, co się odrazu przyznał, i zapalczywy Maniek. Chłopcy są kolegami ze szkoły, uczą się dobrze. Doprawdy niewiadomo *„co im strzeliło do głowy"*.

Chłopcy obiecują poprawę, mówią, że „już nigdy nie będą".

— Nie będziecie mieli teraz kary — ogłasza sędzia. — Sąd uznaje, że działaliście bez zrozumienia, nie zdawaliście sobie sprawy z tego, że czyn wasz jest występny, zły i może wam złamać życie, Ale pamiętajcie, żebyście już nigdy nic podobnego nie popełnili. Wszak chcecie być ludźmi uczciwymi, nie złodziejami?

Tak, tak. Oni nie chcą być złodziejami.

— Ja chcę być szoferem, panie sędzio — mówi Józiek.

Sprawa zakończona. Chłopcy szurgają nogami. Matki ich zagarniają. Tupot nóg. Trzask drzwi.

II. ZA GOŁĘBIA.

Sprawa druga!

Wtacza się na salę mały, zażywny chłopiec. Cera zdrowa, czerwona, oczy mu błyszczą. Jednym słowem — pączek w maśle.

Czy to możliwe, że ta chłopaczyna znęcała się nad gołębiem? O to, bowiem, oskarża chłopca pan policjant. Chłopiec wybił gołębiowi oko. Zabił go z procy.

— Jak się nazywasz?

— Stasiek K..

— Dlaczego strzeliłeś do tego gołębia? Przyznajesz się do winy?

— Co się mam nie przyznać. Tylko to nie tak było. Ja wcale nie celowałem w głowę gołębia. Ja celowałem w głowę Heńka — to mój kolega. Heniek odskoczył na bok, a tu pac! trafiło w tego gołębia. Więc ja jestem niewinny.

I trzeba było długiej rozmowy ze Staśkiem, żeby zrozumiał, iż nie należy strzelać z procy, ani do gołębia, ani do Heńka. że nikomu nie można wyrządzać krzywdy. Można się bawić procą, ale w polu.

Staśkowi sędzia udzielił nagany.

III. DLACZEGO UKRADŁ?

Bronisław C.. — wywołuje woźny trzecią sprawę.

Przed sądem staje wątły, nieduży chłopiec. Twarz dziwnie blada, oczy posępne.

Bronek oskarżony jest o kradzież pantofli gimnastycznych ze sklepu.

— Przyznajesz się do winy? — pyta go sędzia.

— Tak — mówi Bronek cicho i spuszcza głowę.

— Dlaczego to uczyniłeś?

Milczenie.

— Pytam się, dlaczego to uczyniłeś? — powtarza sędzia.

Milczenie.

— Jak chcesz, możesz nie mówić. To twoje prawo. Ale sam sobie źle czynisz.

— Jak on się sprawuje w domu? — zwraca się sędzia do matki.

— Jak to dziecko — odpowiada matka. — Raz dobrze — raz źle. W skórę też czasem dostanie.

— A uczy się pilnie?

— Uczyć to się nie bardzo uczy. I jest taki zacięty. Taki mruk. Czego się nie odzywasz, jak cię pan sędzia pyta? — targa matka ze złością Bronka za ramię.

Ale Bronek milczy. I jeszcze głębiej chowa głowę w ramiona.

— A w domu kradł? — pyta sędzia.

— W domu to tam nie kradł. U nas nikt w rodzinie nie był w sądzie, a ten wyrodek zrobił nam taki wstyd. Takie złe dziecko, taki odmieniec. Ojciec to go tak zbił, że aż... Jabym go wolała widzieć w trumnie, niż tu w sądzie. Taki wstyd! *Złodziej!*

Bronek odwraca głowę. żeby matka aby nie widziała. Po policzku ucieka mu jedna ciężka łza... Potem druga... trzecia... czwarta....

Sędzia bada świadka. Zeznaje pani sklepowa. Jak to ona złapała Bronka za rękę. Jaki to on był przemyślny.

— To musi być zepsuty chłopiec — nawet mnie nie przeprosił. Taki zacięty.

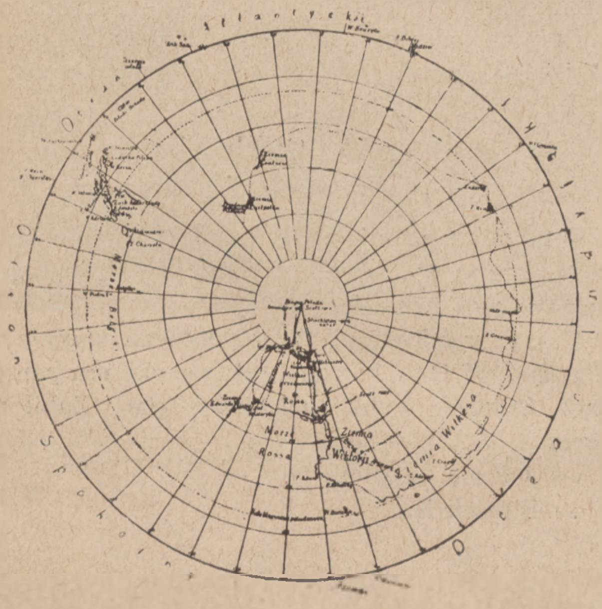
Sędzia ogłasza wyrok. Bronek został skazany na miesiąc więzienia, z zamianą na zakład wychowawczo-poprawczy. Karę tę sąd zawiesił mu na dwa lata. Jeżeli w ciągu tych dwóch lat Bronek będzie się sprawował dobrze — kara zostanie mu darowana. Jeśli znowu przeskrobie, — pójdzie do „poprawczego". A w czasie zawieszenia kary będzie do Bronka przychodził opiekun sądowy.

Bronek z matką wychodzą z sali. Matka idzie naprzód, chłopiec wtyle, — jakby się ociągał, jakby mu było bardzo ciężko wracać do domu...

— Złodziej — brzmi chłopcu w uszach — złodziej....

L. BARAŃSKA

WYPRAWA KAPITANA BYRDA.



Historja każdej nauki to jednocześnie historja myśli ludzkiej i ducha ludzkiego! One wysuwają na czoło uczonych, myślicieli i badaczy, którzy w cichej, pokojowej, a często i śmiertelnej walce o prawdę, stają się bohaterami, zdobywającemi wieczną sławę i pamięć.

Jakże często skromna zaledwie notatka donosi o wiekopomnem odkryciu lub nowej zdobyczy nauki!.. Jak niepostrzeżenie przemknęła się wiadomość, że w końcu ubiegłego 1928 r. wyruszyły do bieguna południowego ekspedycje naukowe angielska i amerykańska, aby wydarłszy tajemnicę, obwieścić światu prawdę i zatknąć sztandary swych ziem na mało dotychczas znanym lądzie.

Na czele wyprawy angielskiej stanął, znany badacz krajów polarnych, George Wilkins.

Wyprawą amerykańską kieruje kapitan Byrd, któdy wsławił się śmiałym przelotem nad biegunem północnym.

Kapitan Byrd zabrał ze sobą załogę, złożoną z 60 ludzi, a rekrutującą się z marynarzy, badaczy naukowych — profesorów uniwersytetu i podróżników, mających na swym rachunku niejedną wyprawę biegunową.

Towarzyszy im także korespondent nowojorskiego pisma, Roussel Owen, oraz grupa skautów, którzy, wzorując się na odważnych i niezłomnych charakterach swych mistrzów, mają hartować swe siły w walce o ideały.

W grupie tej znajduje się „amerykański Polak", szesnastoletni Graliński, syn wychodźcy polskiego.

Ekspedycja wyruszyła na statku „City of New York" i świetnie jest zaopatrzona.

Byrd zabrał ze sobą: dwa aeroplany, sanki, psy, które już były używane w innych wyprawach polarnych, oraz krótkofalową radjostację o zasięgu przeszło 20.000 klm.

Dzięki temu cudownemu wynalazkowi, Byrd nietylko informuje rodaków o stanie i posunięciach ekspedycji, ale nawet, może podać depeszę tej treści:



Krajobraz podbiegunowy.

„Wczoraj słyszałem głos mego synka i szczekanie mego pokojowego psa".

Co za wzruszające słowa! Tysiące mil od ogniska rodzinnego i zbiorowiska ludzkiego, śród bezkresnych śniegów pustyni lodowej, gdzie na każdym kroku czyha śmierć, żywy, bezpośredni głos dziecka!

Lub radjodepesze codziennie przesyłane przez Owena!

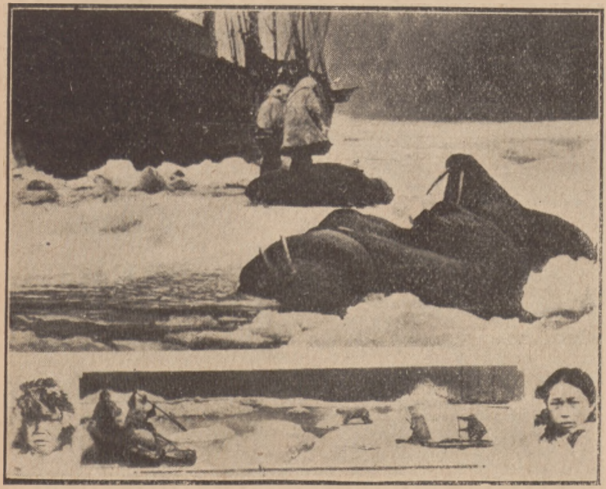
W kilka sekund po ich nadaniu, maszyny drukarskie nowojorskiego dziennika: „New York Times", odbijają wiadomości o przygodach i wynikach pracy ekspedycji. One to doniosły, że 22 lutego b. r. „uroczyście przyłączone zostały do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki nowe obszary antarktyczne i nowoodkryte lądy", a dalej, że wskutek panującej tu gęstej mgły, żadnej z dotychczasowych ekspedycyj do bieguna południowego, nie udało się zobaczyć tych ogromnych obszarów, z piętrzącemi się na nich łańcuchami górskiemi. Byrd pierwszy odkrył te ziemie, pierwszy zobaczył te góry, dlatego mógł sam wyszukać dla nich nazwę. Nazwał je imieniem swej żony „Mery Byrd".



ROALD AMUNDSEN
Pierwszy zdobywca bieg. południowego.

Wielu podróżników udawało się do Antarktydy, olbrzymiego lądu, położonego na biegunie południowym, ale nie każdemu udało się dotrzeć do jego wnętrza. Dwu tylko dostąpiło tego szczęścia: Norweg Roald Amundsen w 1911 r. i Anglik Robert Scott w 1912 r. W wyprawie Amundsena brali udział polacy: Henryk Arctowski i Antoni Dobrowolski.

Powrót do kraju cało i zdrowo sądzony był tylko Amundsenowi. Bohaterski Scott, wskutek fatalnej pogody i burzy, która go zaskoczyła nieprzygotowanego w odległości 11 klm. od schroniska, musiał zginąć z braku opału i strawy. Towarzysze Scotta, którzy pozostali na wybrzeżu, niepokojąc się jego opóźnieniem, wysyłali bezskutecznie oddziały ratunkowe. Przeszło lato i zima podbiegunowa, a Scott nie powracał. Nie było wątpliwości, że zginął. Dnia 12 listopada oddział



Okręt śród lodów podbiegunowych — Morsy

ratunkowy znalazł namiot, a w nim skostniałego i sztywnego Scotta, opartego o słup namiotu.

Jakże szczęśliwy jest Byrd z radjostacją i samolotami!

Żadnej z dotychczasowych ekspedycyj nie udało się przesłać depeszy z Zatoki Wielorybiej, jak czyni to Byrd 28 stycznia: „Wczoraj rano kilku ludzi, zajętych przewożeniem ładunku na lodową taflę, znalazło się po pas w wodzie“ albo: „wieczorem tegoż dnia Vaugan, kierując zaprzęgiem, złożonym z 8 psów, przewożąc węgiel ze statku do obozu, zapadł się nagle pod lód. Zdążył Vaugan uchwycić się ręką brzegu skorupy lodowej i zawisnąć nad śmiertelną tonią. Eddi Howdal wyciągnął go z narażeniem własnego życia. Vaugan w jednej chwili zamienił się w bryłę lodu“.

Dla nauki i wiedzy, dla zbadania jeden to wielki ląd, czy też kilka lądów, połączonych ze sobą skorupą lodową, dla wybudowania stacyj meteorologicznych i wytłumaczenia zmian klimatu w Nowej Zelandji tyle niebezpieczeństw, a może i śmierci?...

Zaiste niepojęty jest duch ludzki!



Zdobywanie wody.

R. RUDZIŃSKA

O TEM TRZEBA TYLKO WIEDZIEĆ.

W pewne przepiękne jesienne przedpołudnie poszłam z dziećmi swemi do parku Łazienkowskiego na spacer. Cudowny to był dzień. Słońce tak piękne, jak to tylko u nas w okresie „złotej“ jesieni bywa. Drzewa okryte cudowną różnokolorową szatą. Dzieciaki moje biegały rozbawione, zbierały liście i kasztany. Obserwowaliśmy różnice w ubarwieniu drzew, porównywaliśmy liście, robiliśmy olbrzymie bukiety. Wokoło gromadki dzieci — roześmianych, rozbawionych.

W pewnej chwili zauważyliśmy z oddali zbliżającą się do nas trójkę osób. Była to jakaś młoda pani i dwóch chłopców, w wieku lat 14—15, trzymających ją pod rękę. W grupce tej było coś osobliwego— uderzającym był ruch głowy tych chłopców, nachylających się z obydwóch stron ku głowie opiekunki, nasłuchujących z jakąś szczególną uwagą tego, co ona mówiła. Chłopcy szli równo i sztywno. Trudno było zdaleka zdać sobie sprawę z całej tej dziwnej sceny. Dopiero, gdy chłopcy zrównali się z nami, powiało ku nam od nich smutkiem ogromnym i — raczej wyczuliśmy to, niż zobaczyli, że oczy tych chłopców, choć otwarte, nic nie widzą.

Ziemia w alei pokryta była zeschłemi liśćmi, a gruba warstwa tych liści leżała na trawniku pod staremi drzewami, które tam rosły. Nauczycielka poprowadziła chłopców na ten trawnik. Chłopcy szurali nogami w tych liściach i przysłuchiwali się szmerowi, jaki liście te wydają. Podnosili te liście, obmacywali je i wąchali.

Smutnej tej sceny nie zapomnę nigdy.

Dzieci, które chodzą tak sztywno, które nie mogą biegać! Dzieci, które poznają jesień przy pomocy nóg! Dzieci, dla których zamknięty jest świat cudów, świat barw! Dzieci, które nie widzą twarzy matki!

Dzieci, którym odjęty został cały szmat życia — to, co stanowi najistotniejszą jego treść, co daje radość i szczęście!

Przesmutny, tragiczny to los.

Pomyślcie tylko, ile gorzkich chwil przeżywa takie dziecko, gdy słyszy naokoło siebie zabawy i śmiechy innych, ile cichych łez popłynie z tych biednych oczu, nim nauczy się „widzieć“ przy pomocy rąk i uszu.

Tak, kara to wielka, kara — za grzechy niepopełnione.

Winowajcą istotnym bywają tu — powiedzieć to należy otwarcie — w ogromnej większości — rodzice. Rodzice, którzy to dziecko kochają, rodzice, dla których ślepota dziecka jest także nieszczęściem, rodzice, którzy pragną szczęścia dla swego dziecka — a obdarzają je nieuleczalnem kalectwem.

Bowiem przyczyną ślepoty dziecka jest przeważnie choroba rodziców.

Czy jednak choroba jest winą rodziców?

Nie — choroba jest nieszczęściem.

Winą natomiast, ciężkim grzechem, a nawet zbrodnią nazwać można wydawanie na świat dzieci przez ludzi chorych.

Bowiem — jeżeli zbrodnią jest wybicie komuś oka, to jak nazwać czyn wydania na świat dziecka ślepego? Jaka jest różnica między obydwoma tymi czynami? Chyba tylko ta, że rodzice, pozbawiający dziecko wzroku — czynią to nieświadomie.

Nieświadomi są tego, że choroba rodziców unieszczęśliwić może dziecko, że chore matki ciężarne powinny się leczyć, bo lecząc siebie, leczą i swój płód, nieświadomi tego, że często odpowiednie przemycie oczu nowonarodzonemu dziecku — uchronić je może od kalectwa. Pomyślcie — tylko drobny zabieg — przemycie oczu.

Gdybyż te słowa moje dotrzeć mogły do wszystkich! Przecież trzeba tylko o tem wiedzieć...

Czy znajdzie się ktoś, ktoby świadomie naraził siebie na trudy wychowywania dziecka-kaleki? Czem jest wysiłek pójścia do poradni dla chcących wstąpić w związki małżeńskie,*) w porównaniu z pracą, jaka czeka matkę dziecka niewidomego przez całe jej życie? Czy dadzą się porównać wydatki, jakie ponoszą rodzice na leczenie samych siebie z ciężarem utrzymywania dziecka niezdolnego do normalnego życia?

Więc twierdzę — że trzeba tylko o tem wiedzieć.

---

*) W Polsce jest takich poradni 6: w Warszawie, Wilnie, Poznaniu, Włocławku, Białymstoku i Katowicach. W Warszawie mieści się Poradnia Eugeniczna przy ul. Nowy-Świat 1.

J. KĄCZKOWSKA

KĄCIK PORADNICTWA ZAWODOWEGO.

Jaki zawód jest najlepszy?

Oto kłopot. Dziecko kończy szkołę powszechną. Trzeba je jakoś pokierować dalej. Trzeba pomyśleć o jakimś dla niego zawodzie. Oddać je do terminu, albo do szkoły zawodowej, niech się czegoś nauczy, co mu później da pracę i utrzymanie. Ale cały kłopot z tem właśnie, jaki zawód będzie najlepszy? W jakim zawodzie są najlepsze widoki na pracę i dobry zarobek? Z tem pytaniem przychodzi do Poradni Zawodowej wiele dzieci, które nie mogą same zdecydować się na wybór zawodu. To samo pytanie stawiają rodzice. Wielu rodzicom wydaje się, że ważniejsze jest wybrać taki zawód, który przynosi większe zarobki, niż zwracać uwagę na to, do czego dziecko ma upodobanie.

A tymczasem odpowiedź na pytanie leży w samem dziecku. Bo powodzenie w pracy zawodowej zależy tylko od człowieka. Wielka prawda mieści się w przysłowiu: „Każdy jest kowalem swego szczęścia“.

Człowiek, który ma silny charakter, silną wolę, zwycięży wszystkie zewnętrzne przeszkody i trudności. Ale praca, której się podejmuje musi odpowiadać jego zdolnościom. Nie może chcieć zostać sławnym uczonym, albo wysokim urzędnikiem ten, kto ledwie z trudnością uczy się w szkole powszechnej. Nie zostanie artystką dziewczynka, która nie ma innego „talentu“ prócz zamiłowania do strojów i próżniaczego życia.

Nie trzeba więc obliczać, który zawód może dać lepsze korzyści, ale przedewszystkiem starać się dowiedzieć, do czego dziecko ma największe zdolności. Trzeba poznać jego braki i wady, które mogą przeszkadzać w zdobyciu powodzenia w niektórych zawodach. Nie należy wyobrażać sobie, że „moje dziecko wszystko potrafi“. Przeważnie rodzice są przekonani,

że ich dzieci są zdolniejsze od wszystkich innych. A że nauczyciel, czy nauczycielka wcale tego zdania nie podzielają, to dlatego, że „nie potrafią się na dziecku poznać“. Tymczasem matka-natura rzadko tylko wyróżni któreś ze swych dzieci i obdarzy je wybitnemi jakiemiś zdolnościami. Najwięcej jest ludzi przeciętnych, o zdolnościach średnich. I to wcale nie znaczy, że dziecko o zdolnościach przeciętnych będzie zawsze w życiu wyprzedzone przez wybitnie zdolnych. Ten, kto swoje średnie zdolności potrafi doprowadzić do możliwej doskonałości, kto ma wytrwałość, kto umie przezwyciężyć trudności i początkowe niepowodzenie — może dojść prędzej i wyżej, niż wybitnie zdolny, któremu brak cierpliwości i wytrwałości w zwyciężaniu przeszkód.

Przykładów tego mamy dużo. Pierwszym więc warunkiem powodzenia w życiu jest obranie zowodu odpowiedniego do posiadanych zdolności.

Nie należy wybierać zawodu tylko ze względu na wysokość zarobku, albo dlatego, że jest on modny, ani dlatego, że większość ludzi uważa go za korzystny. Rodzice najczęściej przy wyborze zawodu dla dziecka kierują się materjalnemi korzyściami. Oczywiście ten wzgląd jest ważny. Ale pewność zarobku nie należy tylko od rodzaju zawodu. Można nań liczyć tem pewniej, im człowiek lepiej zna swój fach, im lepiej jest w nim wykwalifikowany. Przeto drugim warunkiem powodzenia w życiu jest dobra znajomość swego fachu. Owszem, nieraz widzimy, że ludzie mało zdatni i mało wykwalifikowani zajmują dobre stanowiska. Ale to „szczęście“ jest niepewne. Jedna fala ich wyniosła, druga prędzej czy później zmiecie w dół. Na powierzchni życia utrzyma się tylko dobry fachowiec.

To samo z bezrobociem. Nawet w okresie najcięższych kryzysów gospodarczych zapotrzebowanie na wysoko wykwalifikowanych pracowników nie ustaje. Najpewniejszem zabezpieczeniem przeciwko bezrobociu jest doskonała znajomość swego zawodu. Tymczasem coraz trudniej o pracę dla robotnika mało wykwalifikowanego, albo mało uzdolnionego.

A więc zasadniczemi warunkami powodzenia w pracy zawodowej są: poznanie samego siebie, dążenie do udoskonalenia posiadanych zdolności, do zdobycia największej umiejętności obranego fachu. Najlepszym zawodem jest ten, do którego dziecko ma odpowiednie zdolności i zamiłowanie. Tylko w pracy, którą się lubi, można dojść do doskonałości i tem samem zdobyć powodzenie.

Każdy Opiekun Główny, każdy opiekun klasowy, Członek Opieki Szkolnej ma obowiązek moralny zaprenumerować tygodnik Rady Szkolnej dla siebie i zdobyć przynajmniej 2 prenumeratorów z pośród rodziców.

Każda Opieka Szkolna powinna wejść w bezpośredni kontakt z naszą redakcją, nadsyłając jak najczęściej wzmianki o swej działalności, sprawozdania, artykuły i informacje w sprawach opiek szkolnych.

KOMUNIKAT.

Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza w dn. 24—26 b. m. pokaz przedmiotów, zdobionych rzeżuchą przez dzieci szkół powszechnych. Pokaz odbędzie się w salach Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego, Bagatela 3, I p. Otwarcie dn. 24-go b. m. o godz. 11-ej. Rozdanie nagród i zamknięcie 26-go b. m. o godz. 17-ej. Koło Miłośników Ogrodnictwa uprzejmie prosi rodziców uczniów szkół powszechnych o zwiedzenie wyżej wymienionego pokazu. Wstęp bezpłatny.

KINOKRONIKA.

Mrozy zniszczyły całą zimową kampanję kinoteatrów polskich. Najpiękniejsze obrazy zeszły z ekranu po kilku dniach, zmarnowały się wysiłki biur filmowych, które zapłaciły bajońskie sumy za sprowadzone t. zw. szlagiery. To też zapanowała anarchja. W samem śródmieściu, jeden z elegantszych „zeroekranów" daje powtórki dawnych obrazów — inne karmią publiczność wodnistą tandetką, lub blado reklamowanemi sensacjami.

Sensacją najbliższą, ale istotnie artystyczną i piękną, będą Kozacy Tołstoja. Firma Metro Goldwyn Meyer chciała tym filmem uczcić 100-letnią rocznicę urodzin Lwa Tołstoja. Wprawdzie niewiele z Tołstoja w obrazie zostało — ekran to tyran, odnoszący się bardzo po drakońsku do literatury! — ale wizja owego dalekiego życia Kozaków terskich, owej obcej już nam pierwotności, mieszaniny nieróbstwa i wojowniczości mężczyzn, a niewolniczej, ciężkiej pracy fizycznej kobiet — wizja miłości kozackiej, w której świadomem jest tylko poczucie własności, a głęboko podświadomem przywiązanie — wizja ta ujęta została z niepowszednią siłą i prawdą. Mimo, że Ameryka roi się od emigrantów rosyjskich, przeszła już w przysłowie „rosyjskość" rosyjskich filmów, kręconych w Ameryce. Niema tam nietylko najmniejszego zrozumienia dalekiego Wschodu, ale nawet zewnętrzność życia, czy to z doby carskiej, czy to z doby obecnej, jest ujęta śmiesznie i opacznie. W Kozakach, jednak, przyznać trzeba, reżyser George Hill ogromny nacisk położył na wierność szczegółów, i — prócz drobnych usterek, znakomicie mu się to udało. Przedewszystkiem miał pod ręką typ wymarzony: John Gilberta! Żaden autentyczny kozak terski nie jest takim wspaniałym kozakiem, jak Gilbert. Wrodzona pańskość, niepohamowany temeperament, pomieszany z romantyzmem, przepyszna smukła figura, czarność włosów i oczu, przy olśniewającej bieli zębów, ukazywanych szczodrze w wybuchach śmiechu, tworzy żywy portret zaporożca. Renée Adorée mniej się udała. Dziwna rzecz! W filmach gdzie nie miała być prostą chłopką, o cokolwiek kałmuckich rysach, raziła kałmucką twarzą — tu zaś uderza niewłaściwość jej urody. Pozatem żywość jej jest tak wybitnie francuską, że aż psująca nastrój. W dodatku przy końcu obrała fryzurę tak puszystą, nowoczesną i — niekozacką, że nie można się dość nadziwić reżyserowi, który, traktując obraz poważnie, na to pozwolił. Ernest Torrence, ten dobroduszny o gołębiem sercu św. Piotr z „Króla Królów" — przeistoczył się cudem w kozackiego atamana czystej krwi, w miarę szlachetnego, w miarę dzikiego i okrutnego. Nie egzystuje dla niego inne rzemiosło prócz krwawego rzemiosła wojny. Torrence stworzył najżywszą postać z żywych, ale jednocześnie, stworzył historyczny portret, wykończony do ostatniego szczegółu. Tłum, postacie epizodyczne, zrobione świetnie, wściekła dżigitówka autentycznych kozaków, pierwszorzędna — niektóre krajobrazy nieco sztuczne i teatralne, ale naogół z najwyższym artyzmem wykonane. Ponoć w amerykańskiej interpretacji, która do nas na szczęście nie dojdzie, jest w „Kozakach" jakaś przykra scena okładania kańczugą starego ojca przez syna. Dziwna psychologja amerykańska, która się nie wzdraga na takie sceny! bo już w „Siódmem Niebie", obrazie pełnym słodyczy i poezji, młoda pasierbica wali batem leżącą na podłodze macochę. Naskutek gwałtownego protestu naszej prasy, wycięto tę obrzydliwą scenę z obrazu.

Od „Kozaków" wieje poezja zamierzchła stannic zburzonych, światów, które już znikły i nigdy nie wrócą. Lud karmiony tylko krwią i legendą rycerskich, szaleńczych wypraw, zamyka swą charakterystykę słowami, które wypowiada jeden z kozaków:



— Jeżeli zawrzemy pokój z Turczynami, jeżeli nie będziemy wojowali, to cóż wogóle będziemy robić?!

Poza wojną nie egzystowało nic, tak jak dla kobiet, nic, poza jarzmem pracy. Nawet kiedy ciężką belkę pomaga młody kozak starej matce dźwigać, ona się wzdraga: daj pokój! to nie wypada chłopu. Praca jest tylko dla bab!... A kiedy po wielu przeciwieństwach wraca Marjanka do swego Łukaszki, obiecuje mu być wierną żoną, pracować tylko dla niego. Bowiem: „odwiecznem prawem kozackiem jest, że kozak chodzi na wojnę, kobieta pracuje, a nad tem wszystkiem wysoko, na niebie, jest Bóg..."

Patrzymy na ten obraz z mieszaniną wzruszenia, jak zawsze na wszystko, co niepowrotnie minęło i ze zgorszonem zdziwieniem, że tak być mogło.

M. J. Wielopolska.

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Marzniemy. Zachłystujemy się powietrzem ostrem, jak tłuczony lód, bolą nas mięśnie wiecznie napięte i skulone ramiona — i tak strasznie mamy dość tej zimy, i tak strasznie tęsknimy do wiosny!

Życie domu zacieśnia się dokoła napalonego pieca. Garniemy się do niego, obozujemy przy nim — wszyscy! Zamknięte, nieopalone pokoje zieją zimnem i opuszczeniem. Gdy musimy do nich po coś wejść, uciekamy jak najprędzej do obozowiska przy piecu.

Więc powiększył się trud naszych dni o całą tę troskę węglową — o całą bezlitosną, zakamieniałą twardość tej okropnej zimy.

Popękały rury wodociągowe. Niema wody. Co robić? Iść z wiadrem do sąsiada! To zdawałoby się najprostsze.

Zdawałoby się — ale nie jest. Widocznie nie jest, bo oto na murach domów czytamy rozporządzenie Komisarjatu Rządu: nie wzbraniać wody tym, którzy jej nie mają — nie pobierać więcej, niż jeden grosz za wiadro.

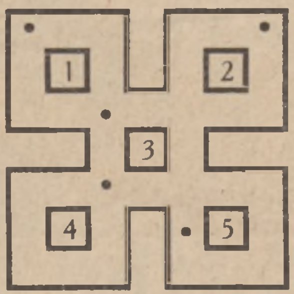
Więc widocznie działo się rozmaicie, więc widocznie działo się poprostu źle, tak źle, że aż władze musiały się w to wdać? Więc byli tacy, którzy „wzbraniali“ i tacy, którzy „paskowali“?

Mój Boże. Tyle złych rzeczy wali się na nas z zewnątrz tej zimy — a my dodajemy do nich jeszcze naszą złość — zło wewnętrzne, od którego życie i bez tego ciężkie — staje się wprost nie do zniesienia!

H. B.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. Wirówka.

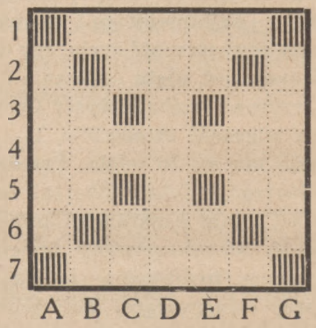


W podaną figurę wpisać według podanych znaczeń 5 ośmioliterowych wyrazów, czytanych naokoło (w kierunku zegarowym) kwadracików z cyframi. Początek słów oznaczają kropki.

Znaczenie wyrazów:

1. Kwiat. 2. Narzędzie do kropienia. 3. Rodzaj koszyka. 4. Motyl nocny. 5. Chorobliwa narośl.

Nr. 2. Krzyżówka.



Znaczenie wyrazkw:

Poziome: 1B. Miasto w Europie. 2C. Roślina. 3A. Rzeka na Syberji. 3F. Karta. 4A. Ulica w Warszawie. 5A. Miara ziemi. 5F. Przyimek. 6C. Rzeka w Europie. 7B. Filut.

Pionowe: A2. Rzemieślnik. B3. Restauracja. C1. Spółgłoska fon. C6. Miasto starożytne. D1. Miasto we Włoszech. E1. Spółgłoska fon. E6. Zaimek. F3. Rzeka w Rosji (wspak). G2. Sioło, wioska.

Za trafne rozwiązanie zadań nadesłane w terminie dwutygodniowym, w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe“ Redakcja przeznaczy nagrody książkowe.

Rozwiązanie zadań z Nr. 3.

Krzyżówka:

M	A	T	K	A
Ł		R		P
O	M	E	G	A
T	E	N	O	R
E		E		A
K	A	R	A	T

Kalambur: Czardasz.

Adres Redakcji i Administracji. Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Tel. 293-47.